

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

## WAKACYE W WARSZAWIE.

POGADANKI O ARCHITEKTURZE

przez

*Waleryę Marrené - Morzkowską*

(Dalszy ciąg).

V.

Już było po południu kiedy wyszli z katedry, dzieci machinalnie poszły na drugą stronę ulicy i długą chwilę przypatrywały się jeszcze pięknej fasadzie, pełnej delikatnych szczegółów. Pan Jaczyński rad był bardzo z tego, że zrozumiwały co im mówił o stylu gotyckim i postanowił zaraz wystawić na próbę ich uwagę. Odprowadził ich ulicą Freta, a chociaż wypadało im skręcić na Długą, przypomniał sobie jakiś interes i szedł z nimi dalej koło Dominikańskiego kościoła. Nagle Halinka pociągnęła go za rękę.

— Ojcie! — zawołała, podnosząc do góry swój ciekawy nosek. — Tu także laskowania jak na katedrze. Czy to styl gotycki?

Mówiła to z pewnem wahaniem.

— To także styl gotycki — przywodził ojciec — bardzo to dobrze zauważyłaś.

— A dla czego tutaj są sklepy — spytał Tadzio — ja myślałem, że tylko kościoły są gotyckie.

— W stylu gotyckim stawiane są i pałace i wielkie gmachy i domy — odparł pan Jaczyński.

— Ale mnie się ten tutaj gotyk nie podoba — rezolutnie zawyrokowała Halinka. — Co to za różnica z katedrą, to tylko jakby jakieś brzydkie naśladownictwo. Na katedrę tak przyjemnie patrzeć, że się odejść nie chce, tak jedno drugiemu odpowiada, tak wszystko razem tworzy śliczną całość, a tutaj tylko ten kawałek muru, wygląda jakby przylepiony.

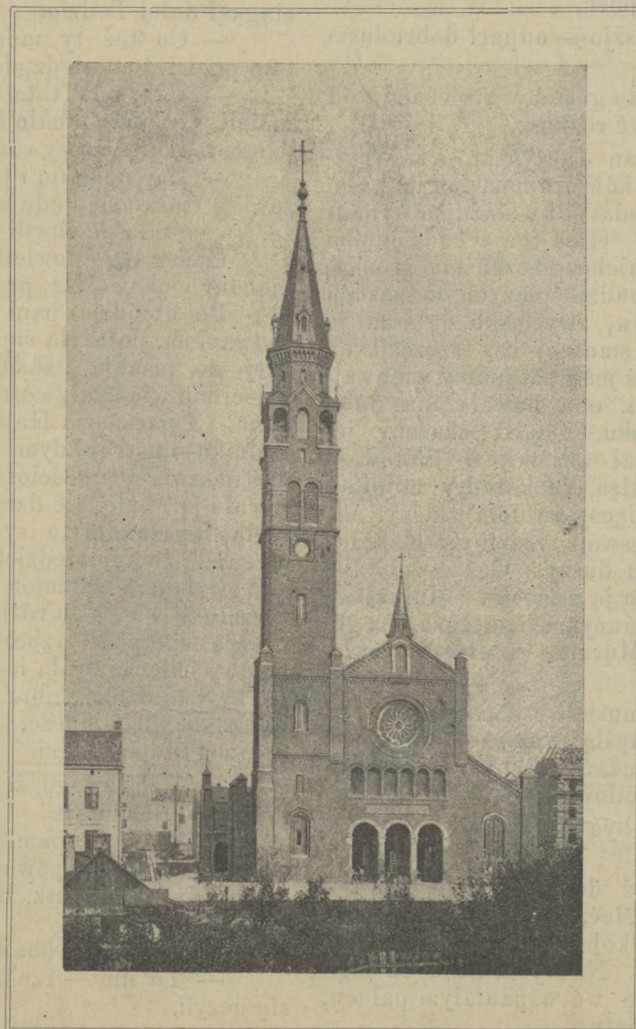
— Ho! ho! jaka z mojej córki znawczyni — uśmiechnął się pan Jaczyński. — Muszę ci przyznać słusność, a nawet dobrze określiłaś wrażenie tego kawałka gotyku, który nie odpowiada wcale fasadzie kościoła i jest tu jak to mówią: ni przypiął ni przylatał. Styl sam przez się nie stanowi jeszcze piękna, trzeba go użyć odpowiednio, trzeba wyzyskać i dopasować szczegóły, rozmiary. W ten sposób budowniczy talent swój wykazuje.

— O, już teraz wiem, że w jednym stylu mogą być rzeczy i piękne i brzydkie — rzekła dziewczynka. — A czy w Warszawie są jeszcze inne gotyckie budowle?

— Zobaczmy — odparł ojciec — chodząc po mieście może co wypatrzymy.

— A inne miasta mają też takie piękne katedry, jak nasza? — spytał Tadzio.

— Mają nawet piękniejsze. Są takie, co słyną po całym świecie. Gdy styl gotycki pojawił się w XIII w. we Francji nad brzegiem Renu, wzbudził taki zachwyt



Kościół św. Augustyna.



iz miasta prześcigały się jedne przed drugimi, ażeby posiadać katedrę wyższą, wspanialszą, z strzelistemi wieżami. Przyłożyć się do takiej budowy, było aktem patriotyzmu i pobożności. Zdarzało się nieraz, że królowie i możni tego świata, przez pokorę chrześcijańską własnymi rękami pracowali przy jej budowie i wraz z robotnikami zaprzęgali się do taczek. Murarze wielokrotnie rzekali się zapłaty przez czas pewien, ażeby pracować tylko dla chwały Bożej. W czasie budowy katedry w Chartres wszyscy murarze normandcy udali się procesjonalnie do tego miasta, ażeby ją budować przez czas jakiś darmo, żądając jedynie skromnego utrzymania.

Nieraz, gdy trzeba było dostawić jakie wielkie ciężary, tysiące osób różnej płci, wieku, stanu, dźwigały je razem, modląc się; a w chwilach odpoczynku, spowiadały się głośno, ze łzami skruchy ze swoich grzechów.

Miasta uważały sobie za zasługę zbudować przybytek chwały Bożej, któryby przyćmił wszystkie inne. Kiedy w Amiens wystawiono niezmiernie wysoką katedrę, w Metz starano się prześcignąć jej wysokość. Budowa podobnych gmachów trwała niezmiernie długo, nieraz wieki całe. Katedrę w Strasburgu, zaczęto w XIII wieku, ukończono dopiero w XV i to bez drugiej wieży, a katedrę Kolońską, jedną z najpiękniejszych jakie istnieją, ukończono dopiero w czasach obecnych. Nie brak też legend o budowniczych, którzy za piękny plan katedry gotowi byli oddać duszę szatanowi, staczali z nim walki, usiłowali podejść, żyli w umartwieniach, byle stworzyć w swem rodzinnem mieście arcydzieło budownictwa.

— Żebym żyła w czasach, kiedy stawiano takie prześliczne katedry — zawołała z błyszczącemi oczami Halinka — tobym chciała je budować.

— A ty Tadzio? — spytał ojciec.

— Mnie to na myśl nie przyszło — odparł dobrodusznie Tadzio.

— Budować takie wspaniałe gmachy z wieżami pod niebo strzelającemi, to musiała być rozkosz.

— Tem bardziej — mówił pan Jaczyński — że słusznie pisał jeden z wielkich historyków francuskich, iż katedra była w owych czasach duszą miasta i w każdym wypadku przemawiała głosem dzwonów. Głos ten w codziennem życiu wzywał do modlitwy, a jeśli niebezpieczeństwo groziło, wołał do obrony, w razie pożaru budził śpiących, w czasach radosnych uroczystości, tryumfów, zwycięsko ogłaszał je światu. W każdej okoliczności smutnej czy szczęśliwej, gromadził wiernych. W razie zaś jeśli potępiony winowajca zdołał się schronić do świątyni, ona dawała mu opiekę, broniła od wykonania wyroku, dopóki skazany jej nie opuścił. Tam gwałt ustawał wszelki, a królowało Boże miłosierdzie. Nie dziw więc, że katedry miłowali mieszkańcy miasta, uważali ją więcej za dom własny, niż nędzne zazwyczaj w owym czasie swoje siedziby. Katedra była właściwym przybytkiem ich duszy. Coś z czci, jaką budziła, spadało też na tych, co ją wznosili. Murarstwo w średnich wiekach było we Francji, Niemczech, Anglii rzemiosłem uprzywilejowanym. Murarze wolni byli od wielu podatków i ciężarów.

— A budowniczym jak musieli być szanowani — zawołała Halinka, idąc dalej za myślą swoją. — Widzi tato, że ja nie tak źle wybrałam, mówiąc, że gdybym żyła w średnich wiekach, chciałabym być budowniczym.

— Kobiety budowniczymi być nie mogły, prawda tato — zaoponował Tadzio.

— I cóż z tego. Ja przecież do tych czasów nie wrócę, a nikt mi nie zabroni myśleć, ani powiedzieć tacie, co mi się roi po głowie. Dziś zaś kobiety są budowniczymi, powiedziała mi to panna Jadwiga. Na wystawie w Chicago oddział pracy kobiet, mieścił się we wspaniałym pałacu, zbudowanym pod kierunkiem kobiety.

— I ty myślisz, że taki zbudujesz?

— A kto wie, gdybym się uczyła, pracowała... Tato

nieraz mówił, że jak kto szczerze chce i stara się z całych sił, to zawsze dojdzie do celu. Nieprawdaż?

Gawędząc i sprzecząc się szli ku domowi, dochodząc do bramy ujrzeni panią Jaczyńską, śpieszącą z przeciwną strony. Dzieci pobiegły ku niej zapytać o dziadzię, ale zaraz z jej twarzy poznały, że wszystko idzie dobrze! Dziadziowi było znacznie lepiej, chociaż musiał jeszcze długo w łóżku pozostać i potrzeba mu było troskliwej opieki.

Wszyscy więc wesoło zasiedli do obiadu.

— Dziadzio wypytawał się o was — wyrzekła po chwili matka — bardzo was żałuje, że musicie spędzić wakacje w Warszawie.

— O, myśmy się dzisiaj tak doskonale bawili — zawolali razem Tadzio i Halinka.

— A ilu rzeczy tatko nas nauczył! — dodała Halinka.

— A cośmy widzieli! — przerwał Tadzio.

— A wie mama, iglica to nie tylko jest do nawlekania — trzepała dziewczynka!

— A Albertrandy miał taką pamięć, że całe kazanie kapelana powtórzył — wołał chłopczyk.

— A jaki ten styl gotycki śliczny.

— A ja wiem teraz co różnica, co ostrołuk, przypory, laskowanie, wykusz.

Dzieci przerywały sobie wzajem, opowiadając jedno przez drugie wszystko co usłyszały.

Pani Jaczyńska śmiała się, utrzymując, że nic nie rozumie, dopóki jej tego porządnie nie powiedzą. Halinka zaczęła zbierać myśli, ale wbrew zwyczajowi pierwszy odezwał się Tadzio z powagą, którą często przybierał.

— Mamo, byliśmy w katedrze.

— Modliliśmy się za zdrowie dziadzi — dodała także poważnie Halinka.

— Ale czy mama wie, żeśmy tam byli pierwszy raz — ciągnął dalej Tadzio.

— Co też ty mówisz — zawołała mama — bywamy tam przecież co niedziela na nabożeństwie.

— Tak, ale tata nas przekonał, żeśmy patrzeć nie umieli, a ja już na całe życie zapamiętam, że patrzeć a widzieć, to dwie rzeczy różne zupełnie.

— Zapamiętam i ja — wyrzekła Halinka. — I odtąd zawsze starać się będę widzieć. A co nam tatko jutro pokaże? — spytała po chwili — gdzie nas zaprowadzi?

Ojciec tego powiedzieć nie chciał. Umysł dzieci, podniecony ciekawością, pracował.

Po obiedzie pani Jaczyńska zmęczona całonocnym czuwaniem, położyła się trochę, pan Jaczyński miał jakieś listy do pisania i zasiadł przed biurkiem. Przez chwilę dzieci nie wiedziały co robić, nudziło ich wyglądanie przez okno. Tymczasem Halinka przypomniawszy sobie, że w Tygodniku ilustrowanym i Wędrowcu były różne ryciny, przedstawiające kościoły. Dotąd takie ryciny nie interesowały ją wcale, ale dziś, po wszystkiemu co oglądała i słyszała, wyszukała te ryciny i oboje z bratem tak się nimi zajęli, że ani wiedzieli kiedy przeszło parę godzin. Szukali wszędzie znamion gotyku i znajdowali je niekiedy, sprzecali się też o różne szczegóły. Jednak więcej nierównie spotykali rzeczy, z których nie umieli sobie zdać sprawy. Nieraz brała ich ochota biedz do ojca i spytać, ale że były to dzieci dobrze wychowane i kochające rodziców, wiedziały więc dobrze, iż nie należy im przeszkadzać, kiedy są czem innem zajęci.

— I cóż z tego, że ja patrzę — odezwał się Tadzio — kiedy nie rozumiem.

— Czy nie pamiętasz co tatko jeszcze powiedział wczoraj, że trzeba pewnej znajomości rzeczy.

— Otóż widzisz, Halinko, ja widzę, że mało co rozumiemy.

Zasmucili się oboje. Ale to trwało chwilę.

— To nic — rzekła rezolutnie Halinka — będziemy się uczyli.

(d. c. n.)



## Pieśń moja.

*Gdzie wesoła wschodzi zorza,  
Bór zielony, stary drzemie,  
Tam-to Wisła, hen do morza  
Przez mazurską biegnie ziemię.  
Koło Wisły stoją chaty,  
Zapatrzone w złote niwy,  
W chatach skromnych niebogaty,  
Ale szczerzy, lud poczciwy.  
Kiedy ranne wstają zorze  
I nad sennie wschodzą pole,  
Lud mój Imię wielbi Boże  
I pługami orze rolę.  
W gnieździe bociek dzionek wita,  
Wesół, rażny, między swemi,  
Kiedy pierwszy kwiat zakwita,  
On przylata do mej ziemi.  
Na wieśniaczej chacie siada,  
W ton wesela wciąż klekoce,  
Potem skrzydła swe rozkłada,  
Nad wód wzbija się przezrocze.  
Cieszy się ptak, druh nasz stary,  
Z naszej pięknej okolicy,  
Wioski naszej pięknej czary  
Milsze mu od zagranicy!  
Głoszą krain obcych dziwy  
Obrazami wspaniałemi,  
Lecz jam tylko tu szczęśliwy,  
Na mazurskiej swojej ziemi!*

Władysław Karoli.

Zofia Urbanowska.

## RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej

(Dalszy ciąg)

— Eh! wymagającym bo pan jesteś nieznośnym i w swem uniłowaniu góralszczyzny dochodzisz do przesady! Co pan chcesz od prostej juhaski, umiejącej zaledwie czytać i pisać?

— Chcę właśnie żeby zrzuciła pychę z serca i śpiewała po góralsku: chcę żeby jej piosenki były jak dzikie kwiaty halne; żeby w nich szumiały smereki, huczały strumienie i pachniała kosówka. Ze nie innego zdania był Antoni Edward Odyniec, dowód najlepszy w tem, iż swój dopisek do wiersza Kasi utrzymał w podobieństwie do jej piosenki, zachowując tę samą formę i te same zwroty. Gdyby sądził inaczej, przemówiłby tu językiem „panów z równin.” Poezyi góralskiej nie do twarzy jest w długiej ogoniastej szacie szesnasto zgłoskowego wiersza: ona musi chodzić krótko, aby jej to nie przeszkadzało szaleć w zawrotnym tańcu zbójckim i przeskakować przepaście. Powinna być lekka, a dziarska i energiczna, jak te oto:

„Liptowskie zahory to nasze komory,  
Bukowe listeczki, nasze poduszeczki.”

albo też:

„Spotkali zbójnicy Janosika w lesie,  
Tak go się spytali, czy pieniążki niesie:  
Janosik Janosik, gdzieś podział pałasik?  
Na wysokiej horze, zacięty w jaworze.

Panowie, panowie, dobre buty macie,  
Prędeż je zedrzenie niż nas połapacie.

Jęczą góry jęczą, bo Janiczka męczą;  
Nie tak jęczeć będą, gdy go wieszać bedom!

Zabili Janiczka pod zieloną turnią,  
Płakała dziewczyna, jaże góry dudnią.

Doliny, doliny, dałbym was wyłocić  
Żeby mi się chciały młode lata wrócić.”

— Pozwolę sobie zwrócić pańską uwagę, że długa szata właśnie łatwiej może unosić się nad przepaściami, jak ptak ważyć się w powietrzu i nad szczytami płynąć, lub jak mgła błyszczyć kolorami tęczy, gdy ją słońce przenika. Ale gdzież ona jest ta poetka — dodał, oglądając się niecierpliwie. — Prosiłem starej Sobczakowej, żeby nam ją tu przysłała.

— I jajecznicy coś długo nie widać — wtrącił Jakób — ani przyobiecane mleka z kartoflami! A ja jestem taki wygłodzony, że zjadłbym wilka!

Jakby na wezwanie, w progu domostwa ukazała się dziewczyna nie młoda, lat trzydzieści kilka mająca. Wysoka, dobrze zbudowana, odziana w czarny wełniany gorset zasnurowany taśmą czerwoną i granatową spódnicę, czerwonym przysłoniętą fartuchem. Koszula śnieżnej białości, podwiązana u szyi wstążką czerwoną, rzucała odbłask na twarz smagłą, o cerze świeżej, zdrowej, ze złotawym odcieniem. Włosy kruczej czarności splecione w dwa warkocz, spadały jej na plecy. Rysy niezbyt regularne rozjaśniał wyraz oczu bardzo bystrych i inteligentnych. Jednym rzutem oka objęła przybyłych i przysłoniwszy oczy powiekami, schodziła powoli ze stopni ułożonych z kamieni przed progiem.

— Pozdrawiamy cię Kasiu — przemówił Witold, patrzący jej się z wielką ciekawością.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odrzekła dziewczyna tonem delikatnego napomnienia, że taki a nie inny jest zwyczaj witania się w tym kraju, przyczem wcale nie podniosła oczu. Obaj mężczyźni zrozumieli nauczkę.

— Niech będzie na wieki — odrzekli spieszenie, używając znanej formuły góralskiej.

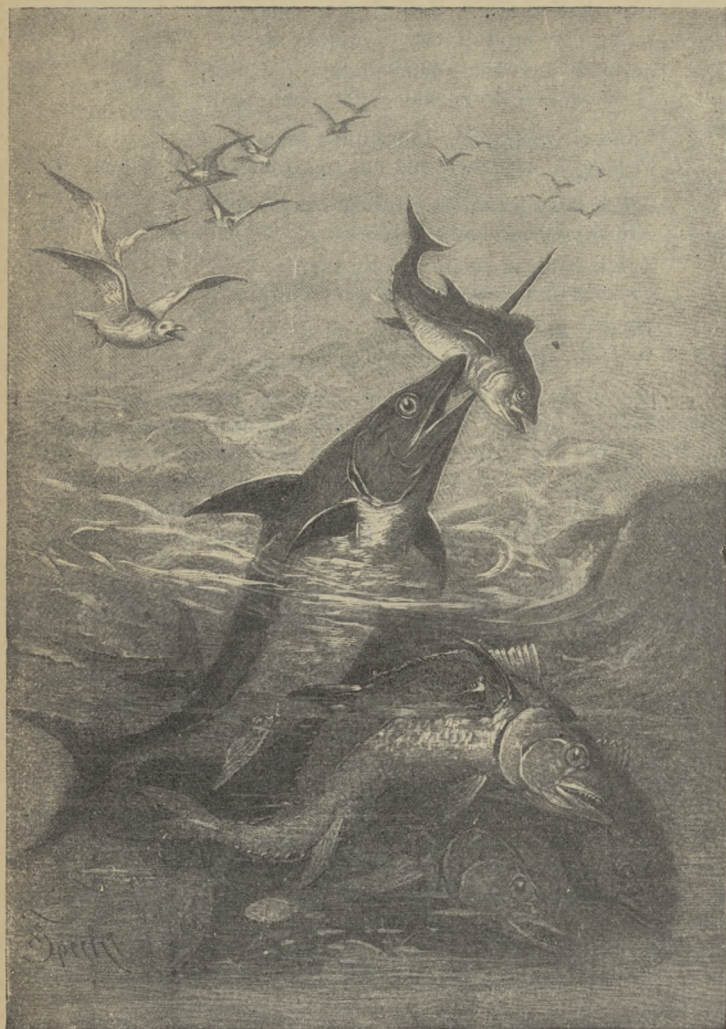
— Ten pan jest doktorem — przemówił Witold, wskazując na przyjaciela — zbiera tu rośliny lecznicze a ja maluję góry wasze. Obaj pochodzimy z tego samego kraju, co pan Odyniec, którego znałaś. Czytamy twoje wierszyki, Kasiu!

I zrobił jej miejsce obok siebie, w mniemaniu że Kasia przysiadzie przy nich, ale onylił się. Dziewczyna obrzuciła obu szybkim, błyskawicznym spojrzeniem, i przeszła koło nich poważna, pod ścianę poprzecznie stojącego budynku gospodarskiego, gdzie w cieniu jaworu stał jej kołowrotek, a siadłszy na stołku, jęła snuć przedziwo tak pilnie, jakby nikogo więcej prócz niej na dziedzińcu nie było. Panowie zdziwieni spoglądali na siebie w milczeniu, tylko warczenie kółka było słychać i szum płynącego za chatą, w głębi parowu strumienia.

— Poetka tatrzańska z góry nas potraktowała — odrzekł zainteresowany Witold, i wyjąwszy notatnik zaczął ją szkicować.

— Zdaje się że ona nie dba wcale o nasze uznanie — odrzekł Jakób z uśmiechem. — Góralom tutejszym w ogóle nie łatwo jest imponować. Jedynym człowiekiem, który im imponował, był ksiądz Stolarczyk, a później dr. Chałubiński, choć już mniej; ale już o Sienkiewiczu, który tu dużo czasu spędza i o Matejce który tutaj bawił, mówią prawie jak o równych sobie. Słońce tu w górach ma na palecie swojej kolory tak żywe i bogate, tak ciągle zmienia obra-





*Ryba Miecznik* (str. 230).

zy, że to co pan im namalujesz, nie może ich zadziwić, ani zachwycić. Czy patrzałeś wczoraj wieczorem na Tatry w oświetleniu księżycu?

— Patrzałem, i widok ten całą noc nie dał mi zasnąć, bo chciałem go odtworzyć na płótnie, a nie wiem czy zdolałem! Po dniu upalnym, temperatura tak opadła wieczorem, że choć nie spojrzałem na termometr, sądzę, że musiał być przynajmniej jeden stopień mrozu. Inaczej nie umiem sobie wytłumaczyć, czemu ingła unosząca się nad łąkami, stała się nagle przejrzysta i błyszczała jak srebro... nie, jak dyamenty! i skrzyła miliardami iskier, co stać się tylko może za przyczyną mrozu.

— I księżycu — dodał Jakób. — Oświecał on szczerbą Gewontu w taki sposób, że widmo śpiącego rycerza na ciemnym sarkofagu z Regli, sprawiało potężne wrażenie, a owa gaza z mgły, która się między niem a łąkami rozpostarła, wzmagająca jeszcze to złudzenie. Czarodziejskie widowisko zniknęło wtedy dopiero, gdy księżyc schował się za chmury. Nic podobnego nie widziałem w mojem życiu!

— Ani ja — dodał Witold.

Kasia nie widząca pozornie nic prócz kądzieli którą była zajęta, zwolniła bieg kołowrotka i odezwała się nie patrząc na mówiących.

— Tak bywa często na jesieni i w zimie: wtedy Gewont śpi okryty białym całunem.

— Słyszysz jak ona mówi poprawnie? — zauważył Witold, rysując ciągle. — Powiedziałbym nawet: poetycznie.

— Wolalbym żeby była powiedziała „rańtuchem,” byłoby to naturalniejsze — odrzekł doktor.

— A jak ma być wicher halny i słońce czerwono zachodzi za Gubałówkę, a czarne chmury kotłują się nad szczytami, to tak wygląda jakby się przy umarłym paliły gromnice i siedł od nich swąd i dym — mówiła dalej Kasia, kręcąc spokojnie nitkę w palcach, a kołowrotek zawarczał znowu.

— Ona umie patrzeć! — szepnął Witold.

— A kiedy wiatr weźmie dąć, a gorącym oddechem parzyć, ciskać kamieniami, huczeć, ryczeć, to jakby duszę dyabli do piekła brali!

Stara Sobczakowa ukazała się teraz, niosąc w jednej ręce miskę pełną kartofli tłuczonych, z których szła wonią para, a w drugiej dzieżkę pełną mleka i jęła dużą blaszaną łyżką nakładać na talerze, oblewając śmietaną obficie.

— Gaździno — przemówił Jakób — czy córka wasza Kasia siedzi wciąż przy kołowrotku?

— Nie — odrzekła stara — ona i płótno robi i kilimki, a państwo bardzo chwalą, że ładne. Umie, widzicie, dobrać kolory tak, żeby były przyjemne do patrzenia. Jedzie, przyniosę wam jeszcze masła co dziś jest wyrobione.

— Bóg zapłać, gaździno.

Kasia podniosła oczy od roboty, rzuciła bystre z pod powiek spojrzenie na mówiącego, przyczem kąci jej ust lekko drgnęły i opuściła je znowu. Pomyślała sobie snąc, że „nauka w las nie poszła.”

— Jajecznicę też będzie wnet; idem urwać szczypioru. A ten trzeci wasz pan, co miał przyjść, ka? Jakosiś go nie widać.

— Już jest — odrzekł Jakób spoglądając, przez drzewa na drogę. — Bywaj Henryku, bywaj! My tu jesteśmy i czekamy na ciebie ze śniadaniem.

Chłopiec przyspieszył kroku przechodząc, koło Kasi, zdjął kapelusz, pochwalił Pana Boga i wkrótce znalazł się przy stole, serdecznie powitany przez Witolda, który mu zaraz opowiedział w czyjem znajduje się domostwie, i kim jest dziewczyna siedząca przy kądzieli. Jakób ze swej strony wsuwał mleko i kartofle — ale chłopiec słuchał z roz-targnieniem, a jadł bez apetytu. Gdy zaś przyniesiono jajecznicę, nie dał się na nią skusić, pomimo że wyglądała bardzo zachęcająco. Jakób zauważył, że Henryk wygląda blado i jest nieswój.

— Co ci jest? — zapytał troskliwie.

— Eh, nic — odrzekł smutnie.

— Czy spotkałeś się z kim?

— Spotkałem w lesie sir Edwarda. Szukałem tam właśnie tych ślicznych Gruszynek *Pyrola*, co pachną jak róża i konwalia zarazem, ale znalazłem tylko kilka między mchem i paprociami: widocznie już przekwitają. Otóż... sir Edward spostrzegł mnie pierwszy i zapytał..

— O cóż takiego cię zapytał?

— Zdziwi się pan bardzo jak się pan dowie: czy chciałbym z nim jechać do Anglii?

Łyżka wypadła Jakóbowi z ręki: takie przypuszczenie nie powstało ani na chwilę w jego głowie. Spojrzał na Witolda, ale ten był tak zajęty rysowaniem, jakby nie słyszał: uśmiechnął się tylko.

(d. c. n.)



*Gruszyczka, Pyrola.*



*W czasie burzy.*



## Ryba Miecznik.

Ryba ta (*Xiphias gladius*) należy do grupy makreli, do której oprócz makreli właściwej, zaliczają się jeszcze: tuńczyk, bonita, sternik i suchwa, wszystko — ryby morskie. Pochodzenia nazwy: miecznik — łącno każdy się domyśli. Górna szczeka tej ryby wydłużona jest nakształt miecza z ostremi krawędziami, dosięgająca czwartej części długości samej ryby, która dosięga od 3 do 6 metrów. Widzimy więc, że miecz ten może być poważnym orężem. Barwa tej ryby jest srebrzysta, z wierzchu nieco ciemniejsza. Morze Śródziemne zdaje się być jej właściwą ojczyzną, można ją tam spotkać we wszystkich porach roku, miejscami nader obficie. Stąd miecznik dochodzi na południe aż do Przyładka Dobrej Nadziei, na północ zaś wzdłuż wybrzeży europejskich tak, iż niekiedy daje się napotykać i w morzu Bałtykiem.

Oddawna krążyły o tej rybie najrozmaitsze baśnie, utrzymujące się do dni dzisiejszych. Powiadano, że ryba ta miała napadać na okręty i łodzie, dziurawić je i zatapiać. Prawda jest wszakże, że znajdowano w deskach okrętów złamane dzioby miecznika. Znany jest także wypadek, że kąpiący się majtek został napadnięty przez miecznika.

Na naszej rycinie widzimy go przeszywającego swym mieczem inną rybę, choć w ten sposób poluje on bardzo rzadko, chętniej posługuje się paszczą. Mięso jego jest smaczne i znajduje się zbyt łatwo.

## W CZASIE BURZY.

Lipiec to miesiąc burz. Chociaż w naszym kraju nie bywają tak gwałtowne, jak w strefach gorętszych, jednak w niektórych upalnych zwłaszcza latach, dają się we znaki i sprawiają wiele szkód.

Burza jest to zjawisko meteorologiczne, polegające na gwałtownym wyładowywaniu się chmur naelektryzowanych, przy ulewnym deszczu, gradzie i gwałtownym wicherze. Chmury, wywołujące burzę powstają w skutek nagłego skroplenia się pary, zawartej w powietrzu, co znowu jest następstwem szybkiego jej oziębienia się. Burze bywają miejscowe, wybuchające w tem samym miejscu, gdzie się tworzą, albo też przesuwają się na pewnej przestrzeni, zwykle dość wąskiej. Burze są najczęstsze wtedy, gdy jest najgoręcej, bo wówczas rozgrzane powietrze może w górze nagle się oziębić.

Obserwacje uczonych wykazały, że liczba burz rośnie w miarę oddalenia się od brzegów morskich.

Rycina nasza przedstawia gromadę włościan, zaskoczonych nagłą burzą. Deszcz już siecze, wicher potrząsa drzewami, błyskawice rozdzierają niebo. Na drodze turkocze bryczka, woźnica zaczyna konie, w nadziei, że ucieknie jeszcze przed pędzącą za niemi ulewą. Złe jednak czyni, bo w czasie burzy trzeba jechać powoli, aby nie wywoływać prądu powietrza, który może ściągnąć piorun.

Również niedobrze czynią ludzie, kryjący się przed burzą pod wyniosłe drzewa, bo w takie pioruny najczęściej uderzają. Widzimy stąd, jak w każdym wypadku życia codziennego znajomość praw natury i nauk przyrodniczych jest potrzebna i pożyteczna.

## Dzienniczek Wąndzi.

(Dalszy ciąg).

Mama uważa, że Thiong zanadto wyręcza się Be-cu, a sam siedzi w fotelu i pali opium, podczas kiedy biedactwo roznieca ogień, przysposabia jarzyny i już tylko do samego zaprawienia budzi kucharza—bo opium tak odurzająco działa, że Thiong najczęściej zasypia a nawet nieraz spada z krzesła i śpi dalej.

Jak tylko widzę, że Be-cu zbyt zapracowany, zaraz wołam go do siebie i czytam zdania anamickie, aby poprawiał moją wymowę podług słuchu, bo sam nie posiada sztuki czytania lub pisania. Pisownia anamicka jest podobna do chińskiej: obrazkowo znakowa i książki ich pisane są w ten sam sposób. Misyonarze portugalscy ułożyli jednakże swego czasu alfabet anamicki łańciami literami i odtąd język ten jest przystępniejszy dla Europejczyków.

Domek, w którym obecnie mieszkamy, okazał się niestety niedogodnym i znów trzeba było szukać innego, a to tak trudno; przytem przeprowadzka to wielki dla mamusi ambaras. Państwo Pellacot szczęśliwie trafili na dobre mieszkanie od razu i są bardzo zadowoleni. W ostatnich czasach nie często mogliśmy się z sobą widywać, bo tak my, jak oni zajęci jesteśmy urzędowaniem naszych siedzib, nie mamy przeto czasu na wspólne odwiedzanie się. Mamusia nieraz biegnie do nich sama z jaką radą lub pomocą, gdyż pani Pellacot, obarczona dziećmi, trudniej od nas daje sobie radę, tym więcej, że nie ma takich zacnych przyjaciół, jak my państwa S., którzy nam wszystko ułatwili. Służę jej więc mamusia swoim doświadczeniem. nabytem już przez krótki nasz pobyt tutaj. Jutro pójdziemy razem na procesję Bożego Ciała.

Hanoï. 20 Czerwca

Znowu dni kilka, w których nie mogłam się wcale zdobyć na pisanie dzienniczka—to też zebrało mi się dużo do opowiadania. Najpierw przeszliśmy nową przeprowadzkę. Ojczuszek znalazł sublokatora, a mamusia, chociaż z wielkim trudem, wynajęła w tym samym czasie całą willę, tym razem zdaje się zupełnie wygodną—bez wilgoci, jaka panowała na dawnym mieszkaniu.

We czwartek jak tylko słońce zaczęło się zniżać, przyszła po nas pani Pellacot z dziećmi, aby nas zabrać na procesję, która się odbyła bardzo uroczystie, ale czysto po anamicku, co dla nas tem więcej było ciekawe, choć zmniejszało wrażenie religijne.

Ofiarze już od dni kilku postawiono i ustrojono, to też wyglądały rzeczywiście bogato i gustownie. Na wzniesieniu, wysokie, pełne kwiatów, światła, muślinów, jedwabi różnokolorowych, wyglądały wspaniale. Anamici-katolicy poubierali pięknie domy i ulice wieńcami kwiatów i obrazami, bardzo oryginalnymi, zwłaszcza jeden widocznie bardzo stary, był niezmiernie oryginalny. Wyobrażał Pana Jezusa, leżącego w trumnie z łańcuchem u nóg, za który ciągnęło kilku dyabłów z rogami. Nad Panem Jezusem pochyleni byli ludzie, lecz czy to Święci czy anamici, nie mogłam dojrzeć, opodal na obrazie stał Chińczyk z parasolem i wachlarzem, w rogu zaś długi napis w języku anamickim. Procesję zaczynała muzyka anamicka, waląc monotonna w bębny i blachy, a za nią postępowała nieskończona ilość dzieci różnego wieku, każde z chorągiewką w rękę, na której był Pan Jezus albo Matka Boska. Dziewczynki malowniczo ubrane w różowe spodniczki, niebieskie koszule, czerwone chustki na głowach i zielone pantofle, za temi znów postępował szereg chłopców w białych spodniach i zielonych koszulach. Dzieci przygotowujące się do pierwszej komunii miały jeszcze prócz tego na głowach białe woale.



Mężczyźni nieśli czworoboczne chorągwie, zakończono w długie zęby, bez napisu, tylko jedna najpiękniejsza miała napis chiński.

Pomiędzy krajowcami szli misjonarze europejscy i księża anamicy, oraz kilku zakrystyanów, którzy utrzymywali porządek wśród dzieci, pocąc się i wachlując.

Księża anamicy ubrani byli w czerwone płaszcze, haftowane w dzikie lby i zwierzęta, a że podobne widziałam w teatrze anamickim w Saignonie, strasznie mi to śmieszyło, tem więcej, że Jeanne ciągle mnie jeszcze do śmiechu pobudzała, zwracając moją uwagę to na to, to na owo. Przed księdzem celebrującym szła muzyka wojskowa i dzieci europejskie z zakonnicami, za księdzem garstka pań europejskich, a potem sami anamici, którzy śpiewając z rękoma założonemi na piersiach, mieli bardzo skupione twarze.

Deszcz pomimo zbierających się chmur nie padał wcale, publiczność była ogromnie liczna, a drzwi i okna czerniły się od głów ludzkich; tak ciekawie przypatrywali się Buddyści naszej wspaniałej uroczystości prawdziwego Boga.

Muszę to wszystko opisać Antolkowi, aby miał co opowiadać kolegom w Juilly. Mamusia twierdzi, że dla samej tej procesyi warto było 6 tygodni płynąć dotąd, tak była niezwykle ciekawą

Nie mogę być dosyć wdzięczną mamusi, że poradziła mi pisać ten dzienniczek, innaczej bowiem zatarłyby się prędko te wrażenia w mojej pamięci, a tak po wielu latach będę mogła zawsze zajrzeć po wspomnienia z chwili obecnej. A jest mi on tem miłszym, że oboje rodzice pomagają mi w utrwalaniu tych moich wrażeń.

Powracając z procesyi, zabrała nas pani Péllacot do siebie na kolację i bardzo przyjemnie spędziliśmy tam całą wieczór. Starsi siedzieli na werandzie, a ja z dziećmi biegałam po ogródku, w którym Jeanne pokazywała mi kwiaty już przez nich kupione, a których nazw się nauczyła. Jeanne jest bardzo miła i grzeczna, a przytem taka wesoła i dowcipna, naśmiałam się też z nią za wszystkie czasy. Tak samo jak ja, nie zaczęły się one jeszcze uczyć, ma to nastąpić dopiero w porze deszczowej, gdy upały cokolwiek miną i temperatura stanie się znośniejszą.

Opowiadałam im o naszej przewodniczącej, która była paradna, można się było kłaść ze śniechu. O 7 ej rano przyszło 5 collisów, każdy z taczką na wysokim, skrzypiącem kole. Oni sami w łachmanach, z twarzami na wpół dziakami, nie mówili ani słówka po francusku; trzeba więc było pokazywać na migi, co mają robić. Ja ciągle nimi dowodziłam co mnie ogromnie bawiło, Be-cu porozumiewał się z nimi po anamicku, co było bardzo podobne do szczekania psów. Pokładłszy meble do taczek, przywiązali je sznurami, drobnymi zaś rzeczami obładowali kilka pousse-pousse. Pochód otwierał kuchta z parasolem, gdyż padał drobny deszczyk, ale i bez deszczu modnie jest chadzać służbie z parasolem, żeby wszyscy wiedzieli, że to kuchta z dobrego domu. Oprócz parasola trzymał klosz od lampy, którą niósł w ręku Be-cu. Na jednym pousse-pousse na samym wierzchu figurował samowar, na drugim coś zupełnie innego, za tem jechały taczki, a my z mamusią stanowiłyśmy ariergardę w niebieskich okularach i korkowych kaskach. Idąc tak, co chwila wybuchałam śmiechem, w czem mi mamusia dopomagała, żalując, że nas nikt w tym pochodzie nie może widzieć. Jeanne twierdzi, że doskonale umiem opowiadać, tak że ona sobie całą tę przeprowadzkę wybornie wystawia, i radzi mi, abym ją opisała w liście do Antolka.

(d. c. n.)

## Odpowiedź na kwestyonaryusz z N-ru 4-go.

### Czego się najwięcej boję?

Porozkładałem wszystkie liściki, ułożyłem je podług wieku korespondentów i przystępuję do sprawozdania. Listów jest mniej, niż mogliśmy się spodziewać; zapewne czytelnicy nasi obawiali się pisać, czego się boją, a może krępowali się, wstydzić. Lecz czegoż się wstydzić? Jasne przedstawienie samemu sobie przyczyny strachu bywa często najlepszym nań lekarstwem, bo ułatwia zrozumienie, iż jest niesłuszny i nieuzasadniony.

Czteroletni Józio K. boi się cyganów. Tolo boi się owadów, wody, ciemności. Antolka obawia się psów i myśli, Romcia grzmotów, Leonek, ognia. Obawa cyganów nieraz się jeszcze powtórzy; mają oni bardzo wielu nieprzyjaciół wśród dzieci. Lud, ten koczowniczy, niespokojny, mało znany, a niezmiernie ciekawy; piękne są ich pieśni, piękne zwyczaje niektóre.

Wielu powieściopisarzy czerpało wśród nich temat do swych powieści, niejeden kompozytor napisał piękny utwór muzyczny, niedawno naprzykład Paderewski skomponował operę pod nagłówkiem: „Manru,” gdzie występują cyganie. Podobno kiedyś, przed laty, kradli oni dzieci, które uczyli różnych sztuk dzisiaj w naszych stosunkach jest to niemożliwe. Jest i teraz między nimi wielu złodziei i koniokrądeł, stąd płynie niechęć włościan i obawa. Ale są między nimi i zdolni rzemieślnicy: kowale, kołodzieje, choć więcej zapewne wydwigroszów; ot, cyganki wyludniają od ludu prostego pieniądze za rozmaite wróżby i przepowiednie. Biedni to ludzie: gdyby chcieli w jednym miejscu się osiedlić i pracować, byłoby im lepiej, bo zdolni są i nieźli w gruncie.

Siedmioletni Kazik boi się burzy i złych psów, Bronisia — dzikich zwierząt, Anula byków, Adaś (Kryształek z Kijowa) obawia się burzy i gwiazd spadających, Ela pożaru. Aldonka — ognia, Józio boi się psów, byków, widoku krwi, Stasia — strachów, grzmotów i ognia; Karolek boi się ciemności, psów obcych, samotności, jazdy powozem. Ośmioletni Miccio boi się piorunów i ognia. Zenonek boi się grzmotów, piorunów, ciemności, ognia i duchów. Widzimy, że dzieci obawiają się głównie tego, czego nie znają, czego wystrzegają się starsi, czem straszą je może niańki. Ogień — to jeden z najserdeczniejszych przyjaciół człowieka, przynosi nam światło i ciepło, bez których nie moglibyśmy żyć wcale; im człowiek więcej umie, tem większego szacunku dla ognia nabiera, a jeśli sprowadza on niebezpieczeństwo, to tylko w skutek wypadku a najczęściej z powodu nieostrożności ludzi. Naturalnie, że pożar jest groźny i straszny, trzeba się wystrzegać, wszystkiego, co może go sprowadzić, ale gdy wybuchnie, nie należy poddawać się wrażeniu, lecz właśnie skupić całą odwagę i przytomność umysłu, aby opanować groźny żywioł i co można uratować od zniszczenia.

Adasia możemy zapewnić, że gwiazdy spadające właśnie na ziemię, nie spadają i żadnych szkód nie wyrządzają.

Dziewięcioletni Feluś boi się piorunów i ognia, Henio — pożaru, Kazik — burzy, Staś (Zbyszko) boi się psów złośliwych i owadów, Wańdzia — pożarów, piorunów, grzmotu i Żuków, Mela boi się pływania łódką, złego indyka, ciemności; Józio boi się psów, Adaś ciemnego pokoju, bo mu się zdaje, że „każdy sprzęt ma zęby i oczy.” Wodna Trawka obawia się bydlą rogatego, gęsi, psów, koni młodych i kóz. Ze Trawka boi się zwierząt roślinożernych to chyba dla tego, że wybrała sobie taki pseudonym i to nic dziwnego; każda roślina pragnie żyć i weselić się, a wcale nie jest miło być zjedzoną przez krowę, gęś, konia albo kozę. Zwierzęta też przynoszą duże korzyści, o czem wie każdy, a szkoda tylko roznosić niepotrzebnie tym, co się z nimi nieumiejętnie i niebaczenie obchodzi. Toż i ja lubię miód, szczególnie ze świeżym chlebem, ale palca do ula nie





włożyłbym. Ale dlaczego Staś boi się sprzętów w ciemniejszym pokoju? Przecież może się przekonać, że są one zupełnie takie same, jak przy świetle, tylko ich rozróżnić w ciemności nie możemy. Jest to wprost strach nerwowy, którego trzeba się pozbyć, a na który najlepszym lekarstwem jest zimna woda rano i gimnastyka.

Dziesięcioletnia „Młódka” boi się ciemności, cyganów, „którzy mogą porwać lub oczarować,” samotności, czy to w dzień czy w nocy. Janinka boi się błyskawic, grzmotów i piorunów. Izabelcia boi się smutnych snów. Madzia boi się wieczorem chodzić do lasu. Benigna boi się ciemności, bo zdaje jej się, że za nią duch leci, boi się pijanych, obłąkanych, samotności, złodziei, bab, dziadów i psów. Tu muszę powiedzieć, że nigdy ducha nie widziałem, chociaż już żyję dość długo, żaden z moich znajomych nigdy też ducha nie widział, a słyszałem o duchach tylko w bajkach i legendach. W żadne przepowiednie i czary nie wierzę, bo i to są bajki tylko i wymysły. A Izabelcia, jeżeli nie chce mieć przykrych snów, bo są one naprawdę bardzo męczące, niech wieczorem mało jada, zaraz po herbacie niech spać się nie kładzie.

Jedenastoletnia „Koniczyna czterolistna” boi się ciemnego pokoju, utopienia się i bydła rogatego, L. boi się chorób i umarłych, Andrzej złodziei. Dwunastoletnia Mela boi się grzmotów, Terenia boi się duchów, chorób i wściekłych psów, Lunia — wściekłych psów i pijanych, Zosia z M. pożaru, Stasia owadów, bezimienna korespondentka obawia się krów i wypadków na kolei. Zosia z S. boi się złych dróg, które „wiją się wśród jarów kamienistych, nad strumieniami, czasem przepaściami,” przyczem dodaje bardzo słusznie: „Strach mój jest jednak nieuzasadniony, gdyż dotychczas nigdy wypadkowi złemu ani ja, ani nikt z moich nie uległ.” To samo możnaby powiedzieć tym wszystkim, którzy obawiają się psów wściekłych, piorunów i najrozmaitszych wypadków. Zdarzają się one, lecz względnie rzadko. Toż zdarza się, że drzewo się łamie i przygniata człowieka, że sufit się zawala, że między grzybami znajdują się trujące, ale nie dowodzi to, byśmy obawiali się siedzieć pod drzewem, spać w pokoju, albo jeść grzyby. Wypadkom należy zapobiegać, wystrzegać się, ale nie bać, ufając przytem w Opatrzność Boską. Aż przykro pomyśleć, że przy każdym uderzeniu pioruna setki ludzi drży ze strachu, zapominając, że gdy już słyszą grzmot, to najlepszy dowód, że piorun w nich nie uderzył.

Trzynastoletni Orkan boi się burzy, Wanda obawia się ciemnego pokoju, Grażyna czuje obawę na odgłos trąbki straży ogniowej i boi się... karaluchów, Marya boi się węzów i jaszczurek, Antosia — rozbójników i wywrócenia powozu. Czternastoletni Zenon boi się pszczoł, raków i ciemności w odosobnionym pokoju, Wacek — złośliwych psów. Piętnastoletnia Stokrotka obawia się zupełnej samotności, szczurów, pijanych i obłąkanych. Dzika Gemza obawia się chrapąszczy. Wydaje się na pozór dziwnem, że ktoś obawia się tak niewinnych istot, jak chrapąszcze i inne owady. Sądzę, że to raczej jest wstręt niż obawa. A jednak

z życiorysów wielkich ludzi wiemy, że i oni mieli swoje obawy i wstręty: jeden nie mógł znieść widoku pająka, drugi — zapachu poziomek, trzeci — widoku czarnego kota; są to tak zwane idyosynkrazye, które zwalczyć niełatwo.

Na zakończenie z słów kilka do naszych starszych czytelników: prosimy was, abyście nigdy w zabawach z młodszym rodzeństwem nie straszili ich ani duchami, ani ciemnym pokojem, ani nagłymi okrzykami, abyście starali się łagodną perswazją przekonać młodsze dzieci, że wszelkie ich obawy są nieuzasadnione; należy czynić to łagodnie, rozsądnie, bo wyśmiewanie, przedrwiwanie i wszelkie sposoby nagłe do niczego nie doprowadzają i tylko przykreść sprawiają. A wiedzieć należy, że strach zwłaszcza nagły jest nie tylko przykrym, ale i szkodliwym bardzo dla zdrowia uczuciem, bywa przyczyną szkodliwego przygnębienia, a nawet choroby i w niektórych wypadkach śmierci. Więc kto straszy, ten bardzo źle i nierozsądnie czyni.

Z niezbyt wielkiego materiału tego, nie mogę wyprowadzić ogólniejszych wniosków, w każdym razie, w imieniu redakcyi „Wieczorów” dziękuję bardzo tym, którzy na nasz kwestyonaryusz odpowiedzieli, a mam nadzieję, że na inne zapytania, które od czasu do czasu pomieszczać będziemy, odpowiedzi od naszych czytelników otrzymamy znacznie więcej.

J. K.

## S Z A R A D A.

ul. Maryla.

*Pierwsza* z liter trzech się składa  
Nazwę miasta wypowiada  
Hen w Afryce, handlowego.  
*Druga*, imię serdecznego  
Przyjaciela Mickiewicza,  
Trzy litery tylko wlicza.  
Gdy wraz *wszystko* wypiszemy  
To oazę mieć będziemy.

## Zagadnienie historyczne.

p. Konfed.

Kto na początku XIX-ego wieku nosił największą czapkę?

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go.

## Zadań na przysłówia:

I.

Kiedy wleziesz między wrony, wtedy krakaj, jak i ony.

II.

Kociol garnkowi przygania, a oba smolą.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Wakacje w Warszawie, pogadanka o architekturze, przez Waleryę Marrené-Morzkowską (z ryc.) — Pieśń moja, wiersz przez Władysława Karolego. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Ryba miecznik (z ryc.) — W czasie burzy (z ryc.) — Dzienniczek Wańdzy. — Odpowiedzi na kwestyonaryusz z N-ru 4-go. — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek:** Królowa Macierzanka przez Andrzeja Niemojewskiego. — Złamany krzyżyk przez Annę Rygierównę. — Jak się skończyło polowanie na kanarka przez M. Weryho. — Dzieci w podróży. — Łamigłówki i rozwiązania. Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Hrabina, powieść przez Teresę-Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою. Варшава 30 Іюня 1901 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.





Andrzej Niemojewski.

## KRÓLOWA MACIERZANKA.

### OSOBY.

Mechanik, Ruta, Dziewanna, Macierzanka: trzy jego córki — Kościej, władca przestworzy. — Turkawka, jego córka. — Król, Hetman, Wojewoda, Ochmistryni, Rycerz, Goniec, Dwór, Straż. — Dwunastu synów królewskich z rojem gwiazd nad głową i z sierpem księżycą. — Lud. — Orszak. — Marszałek.

### ODSŁONA I.

*(Park otoczony lasami z widokiem na morze. W pośrodku wysoki klon. Na nim umieszczona samograjka. Rozlega się cudowna muzyka. Pod klonem stoi mechanik).*

#### Mechanik.

Samograjka moja dzwoni  
Dziecię mojej zręcznej dłoni!  
Czarodziejska brzmi muzyka.  
Jam w nią zaklął szept wietrzyka,  
Woń liliową, morza granie  
I słonecznych blasków drganie!  
Do mnie, do mnie, moje córki,  
Pójdźcie słuchać, jak w przestworze  
Dźwięki płyną pod lazury,  
Ponad lądy i nad morze!

*(Wchodzi Ruta).*

#### Ruta.

Ojcze, dziw się stał w naturze!  
Gdy świt nocy zdjął zasłonę,  
Słońce płynąc po lazurze  
Zatrzymało się zdumione  
I na klon obraca oczy,  
Kędy brzmi ów dźwięk uroczy!

#### Mechanik.

Słońce jeszcze nie słyszało  
Takich tonów, więc przystawa  
I muzyką się napawa,  
Patrz, jak z szczęścia rozgorzało!  
*(wchodzi Dziewanna).*

#### Dziewanna.

Ojcze! Dziwy, wielkie dziwy!  
Wszystkie drzewa jak lud żywy  
Płaczą w lesie! Pochylają  
W dół korony i wzdychają!  
Każde drzewo — patrz z daleka —  
Zwraca ku nam twarz człowieka!

#### Mechanik.

Drzewa jeszcze nie słyszały  
Takich tonów na tej ziemi,  
A więc z dziwu oniemiały!  
Bodaj rosy zręsiści  
Zalewając kraju dale,  
Niosły wieści o mej chwale!

#### Ruta.

Wielki jesteś, ojcze drogi!  
Władza twoja wszędzie sięga!



**Dziewanna.**

Tak, tyś wielkość, tyś potęgą!  
Ciebie słucha żywioł wrogi,  
Złote słońce z widnokręga,  
Niebo, ziemia, ojczyzno drogi!

**Mechanik.**

Gdzież jest moja trzecia córka?  
Kiedy cała drży natura  
I z podziwem pieśni słucha,  
Ona nie chce zwrócić ucha?  
Ona jedna obojętna,  
Jakby chwale mej niechętna?  
*(wbiega Macierzanka).*

**Macierzanka.**

Ojczyzno! Ponad skał załomy  
Ciemna, groźna chmura płynie,  
A w niej głucho huczą gromy!

**Ruta.**

Co tam roi się dziewczynie!

**Macierzanka.**

Ojczyzno! Jakiś głos ponury  
Ludzką mową grzmi wśród chmury...  
Ja się lękam, tak, o ciebie!

**Dziewanna.**

Ależ niema nic na niebie!

**Ruta.**

A cóż ojcu grozić może?  
On jest władcą, jego słucha  
Cicha ziemia, gwarne morze!  
*(Ściemnia się. Uderzenie gromu).*

**Mechanik.**

Skąd ta nagła zawierucha?  
Samograjko, twoje dźwięki  
Zamienione w jakieś jęki!  
Czemu milkniesz?...

Ach, u góry

Twarz Kościeja błyska z chmury!  
Wróg mój spada w błyskawicach,  
Pali mu się gniew na licach,  
Zemsty chciwy lot swój zniża  
I do klonu rękę zbliża!  
*(W chmurze ukazuje się Kościej).*

**Kościej.**

O bezecny czarowniku,  
Odnalazłem ciebie w końcu!  
Próżno skargę niosłem słońcu,  
Nie słuchało mego krzyku,  
Mej żalości, mego płaczu  
Za mą córką ukochaną,  
Którą tyś w gołąbkę zmienił,  
Gdyś się na mnie w gniewie pienił,  
Za co? Nie wiem!... Lecz dziś rano  
Wytropiłem ciebie, graczku!  
Samograjka cię zdradziła,  
Dźwięk jej sięgnął w głębie morza  
I mnie zbudził z mego łóża!  
Niech instrument twój grom spali,  
Niechaj ziemia się otworzy  
I w swem łonie cię pochłonie!

Wiecie wichry wśród przestworzy!

Burz się głębio morskiej fali!

*(Piorun uderza w klon. Mechanik z jękiem zapada się pod ziemię. Przez chwilę szaleje burza, wrą w dali morskie odmgoty. Kościej odpływa w chmurze. Rozjaśnia się).*

*(d. c. n.)*

## Złamany krzyżyk.

Terenia otrzymała w podarunku śliczny, mały krzyżyk. Był czarny, wyrobiony z drzewa hebanowego, a końce czterech ramion ujęte były w złotą oprawę. Nośnię go, jako ozdobę, na błękitnej wstążeczce.

Pewnego razu odpadło krótsze ramię krzyżyka. Terenia poszła do ojca z prośbą o naprawę.

— Z miłą chęcią oddam twój krzyżyk do naprawy, droga córeczko — rzekł ojciec — lecz przy sposobności powiem ci, jak masz postępować w życiu, ażeby żadna troska nie stała się dla ciebie krzyżem, to jest źródłem cierpienia. Przypatrz się tylko swemu krzyżykowi! Bez krótszego ramienia, dłuższe samo nie stanowi krzyża; dopiero gdy krótsze ramię w poprzek położymy, powstanie krzyż.

Podobnie dzieje się z cierpieniem, które krzyżem nazywamy. Wola Boża jest jako dłuższe ramię; nasza zaś, która często tamtej wyższej w poprzek staje, jest — krótszem ramieniem.

Pamiętaj więc, od każdego krzyża, któryby na cię spadł w życiu, odjąć krótsze ramię, a nie będziesz już miała krzyża do dźwigania, pogodzenie się z wolą Opatrzności zmniejszy przykrość i ból.

Kto się ukorzy przed wolą Boga,  
Dla tego lekka — krzyżowa droga.

*Anna Rygiérowna.*

## Jak się skończyło polowanie na kanarka.

Nad oknem wisiała klatka, w niej siedział kanarek.

Rankiem bardzo wcześnie się budził, kąpał w zimnej wodzie, która stała tuż w miseczce, czyścił dzióbek o deseczkę i zaczynał spożywać siemię lub bułeczkę, to było jego śniadanie.

Potem wskakiwał na pręcik i śpiewał: śpiewał głośno, a długo, długo...

Lubiono kanarka bardzo w domu, nie raz ktoś przychodził przyjrzeć mu się z bliska. Najczęściej jednak odwiedzał go kot Maciuś.

Siadał na oknie lub na krześle i wciąż mu się przyglądał.

Dziwił się nieraz ptaszek, czemu kot całymi godzinami oka z niego nie spuszcza.

— Kiwi - kiwi! — zapytywał nie raz kota.

Ale Maciuś nie rozumiał ptaszka, tylko ogonem poruszał.



Razu jednego przybiega do klatki Janek. Znał go kanarek dobrze i lubił, bo mu chłopczyk co rano klatkę czyścił i jedzenie dawał.

— Jak się masz, ptaszku, kiwi, kiwi! może byś chciał w pokoju polatać?

I otworzył drzwiczki klatki.

— Kiwi, kiwi! — zaszczębiał wesoło kanarek i wyleciał.

O, lubił on takie wycieczki, był wtedy swobodny, nie tak jak w klatce.

Fruwał ptaszek po salonie, siadał na kwiatach, na piecu; potem przeleciał do gabinetu, potem do sypialni... Nareszcie usiadł, ażeby odpocząć na firance, wtem spostrzega kota. Który dziś jakoś inaczej zupełnie wygląda: oczy mu się iskrzą, grzbiet ma wygięty i widocznie zaczął się na niego.

Zrozumiał natychmiast ptaszek, co sobie Maciuś myśli, zerwał się z franki i na lustro się schronił; kot za nim; ptaszek na parawan i kot na parawan, on na komodę i kot na komodę, na umywalkę wleciał — a wtem słyszy bęć! coś plusnęło.

To Maciuś wpadł do wiadra z wodą. Pierwszy raz w życiu zdarzył mu się taki przykry wypadek, tembardziej, że on wody nie znoślił.

Wy dostał się wprawdzie z wiadra, ale już odechciało mu się polowania.

*M. Weryho.*

## DZIECI W PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg).

A wam jak się zdaje, czytelnicy — który z nich dwóch ma słuszość?

Sprzeczkę przerywa wołanie pana Nałęcz, który dzieciom każe patrzeć na piękną okolicę. Pociąg mija dużą, lasem porośłą górę, na której bieli się mnóstwo kapliczek, porozrzucanych przy kręto wijących się na pochyłości drózkach. W oddali widnieje wspaniały kościół z dwiema wysokimi wieżami, a pociąg tak dziwnie kręci się w koło góry, że co chwila z innej strony ukazują się kaplice i kościół: to z prawej, to z lewej, to znikają zupełnie, to znów ukazują się przed pociągiem.

— To Kalwarya Zebrzydowskiego — objaśnia pan Nałęcz — cel pobożnych pielgrzymek ludności Galicyi i Śląska — tak jak nasza Częstochowa. — Kościół i kaplice, wystawił Mikołaj Zebrzydowski.

— Ładna pokuta! — woła zachwycona Helenka, przyciskając twarzyczkę do szyby.

— I cóż dzieci, czy góry ładne? — pyta jedna z mam.

— Ach! śliczne! śliczne! — odpowiadają dzieci chórem.

A góry coraz to wyższe — coraz to inne — coraz piękniejsze, wyrastają po obu stronach drogi, i ciągle już tak, do samego Starego Sącza, gdzie pociąg staje późno po południu. Na stacyi pełno powozów i górskich wózków, zaprzęzonych w małe, okrągłe koniki. Mamy zabierają wszystkie pakunki i siadają do powozu; obaj tatusie

i dzieci pakują się do górskiego wózka; Janek siada obok powożącego górala, zaproszony przez niego.

— Siadajcie tu, paniczku, to będziecie patrzyli na konie!

Koniki ruszyły szparko, i wszystkim zrobiło się bardzo wesoło, równie przyjemnie, jak w najładniejszym powozie. Góral był rozmowny, pytał, skąd jadą, pokrzykiwał na koniki:

— Wista! wio! heta!

Janka ujął tem odrazu za serce, że bata nie używał wcale, tylko jadąc pod górę zachęcał konie:

— Wio! wio! malutkie!

I malutkie szły tak rażno, że dzieci ani się opatrzyły kiedy wózek dojechał do Sącza, gdzie podróżni mieli zanoć, by rano wyruszyć do Szczawnicy.

## XII. W SĄCZU.

Po turkocie miejskim, po monotonnem stukaniu wagonów i graniu elektrycznych dzwonków na stacyach — cisza — głęboka cisza małego miasteczka, po którego ulicach snują się rzadko przechodnie, a nawet gromadki dzieci bawią się spokojnie i cicho, przerywając zabawę tylko na widok podróżnych, dążących zwolna do kościoła i klasztoru świętej Kunegundy.

— Jak tu cicho! Jak tu pusto! — powtarzają dzieci ze zdumieniem.

— A Tadzio dodaje:

— I to takie spokojne miejsca napadali Tatarzy!

W tej chwili, gdy wśród uroczystej ciszy bije godzina na wieżowym zegarze, całe towarzystwo wchodzi na klasztorne podwórze.

— Ten sam zegar może wybijał godziny świętej Kunegundzie! — mówi Janka.

— To nie, bo za czasów świętej, nie było jeszcze takich zegarów, tylko czas mierzyli ludzie za pomocą klepsydr, w których przesypywał się piasek — objaśnia pan Korwin. Miało to tę niedogodność, że trzeba było czatować na chwilę, gdy ostatnie ziarenka piasku padały, by nie tracąc chwili, przewrócić klepsydrę, inaczej cała rachuba poszłaby na nic.

— A kiedy zegary zostały wynalezione? — dopytuje się Janka.

— Dużo później. Dopiero około 1500 r. w Norymbdze robiono pierwsze zegary, ale i te różniły się wielce od obecnych. Najdawniejsze miały kształt jaja i stąd nazywano je początkowo „jajkami norymberskimi.” Ale chodźcie zobaczyć studnię, która niezawodnie pamięta czasy świętej królowej, bo nie podlega wątpliwości, że wykopano ją, ażeby mieć wodę w klasztorze, na wypadek obłężenia... Patrzcie co za głębia!...

Studnia pod daszkiem, z korbą i wiadrem na łańcuchu, otoczona lipami, jest tak głęboka, że trudno dna dojrzeć. Podbiega chłopiec, pyta czy państwo nie napiją się wody, i zaczyna spuszczać wiadro. Łańcuch rozwija się, rozwija, aż w końcu słychać uderzenie wiadra o wodę, po długiej chwili powraca ono na górę, a chłopiec chcąc dać jeszcze lepsze wyobrażenie o głębokości studni, bierze kamyk i rzuca go w głęb — wszyscy słuchają i rachują, ile czasu upłynie, zanim doleci on do wody. Potem



idą oglądać mury otaczające podwórzec klasztoru i baszty ze strzelnicami, które nadają klasztorowi pozór warowni, jaka była za dawnych czasów.

Kościół starożytny, ze skarpami, zbudowany przez świętą Kingę w 1260 r., a przy nim klasztor Klarysek, do którego królowa wstąpiła po śmierci swego męża, Bolesława. Tutaj też umarła, a grób jej znajduje się w kaplicy po prawej stronie, oddzielonej od kościoła zieloną kratą.

W tej chwili w kościele pusto, tylko zakonnice śpiewają na chórze wieczorne modlitwy; mamy idą prosić o pozwolenie zwiedzenia dawnej celi królowej Kingi, a pan Nałęcz zaczyna opowiadać o zasługach tej królowej, która pomagała mężowi w walkach z Tatarami, oddała mu cały swój posąg na koszt wojenne, a gdy mąż podarował jej ziemię Sądecką, rządziła nią jak pani mądra i dobra. Przy klasztorze istnieje dotąd założona przez królową bezpłatna szkoła dla dziewcząt, w której, od sześciuset przeszło lat kształcą się mieszcanki Sącza, i dzięki temu kobiety sądeckie są więcej wykształcone od mężczyzn.

— A widzisz Janku! A widzisz! — zwraca się do Janka Helenka.

— Nic nie widzę; chyba to, że ty nie jesteś z Sącza! odpowiada bardzo przytomnie Janek.

Mała panienka i chłopczyk, sprzecząc się z sobą bezustannie, ale mimo to żyć bez siebie nie mogą. Pan Nałęcz chce zażegnać wojnę i przerywa:

— No! no! zamiast się sprzeczać, niech Janek lepiej powie, kto była święta Kunegunda i czem się wślawiła.

(d. c. n.)

## SZARADA.

*Pierwsze* wspaniałe jest dla graczy celem pożądanie,  
*Drugie* z trzecim złą odzież od zdercia ochrania.  
*Wszystko* wraz jest rośliną znaną z takiej sławy,  
Że do innych pokarmów dostarcza przyprawę.

## ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

ul. Janusz H.

. czc. w. śc . pr. c.  
L. dz. wzb. g. c.  
N. . t. cz. krz. wd. c. dz.  
L. cz. k. r. . wzg. rd. . b. dz.

## ROZWIĄZANIA DO Nru 27-go.

Zagadki: Łódź.

### Kwadratu magicznego:

D	o	N
O	t	o
N	o	s

## Skrzynka do listów.



List twój **Betulo Ojoviensis** zachowamy dla Gołąbki, jak i wszystkie inne do niej pisane. Podzielamy najzupełniej jej zdanie, że listy twoje są ciekawe i zajmujące, dajemy ci tylko życzliwą radę, abyś stosując się do przestróg mamy, stawiała właściwe granice nawet tak pożytecznemu upodobaniu, jakim jest czytanie książek. W tem, jak we wszystkim, pewną miarę utrzymać należy, karmiąc umysł strawą zdrową i w takiej ilości, aby z korzyścią przetrwawioną być mogła. Życzymy postępów w muzyce i naukach, a do namysłu czy sztukę, czy też zawód naukowy wybrać lepiej, masz jeszcze dosyć czasu.

Z listu twego **Wróżko leśna** przekonywamy się, że wrażliwą jesteś na piękności przyrody, a taka wrażliwość poparta znajomością praw natury, stać się może źródłem wielu prawdziwych przyjemności. Wypocznij teraz należycie wraz z Pol. Dziewczką, aby nabrać sił na V-ą klasę. Bardzo to dobrze, że roczniki „Wieczorów” tak starannie oprowadzają każe, w ten sposób powiększają one wam bibliotekę, będą pożyteczne przez długie lata. Jaskółka może teraz buja nad Świtezją.

Dziękujemy **R. T.** za przysłany opis wycieczki do Eupatorii. Może skorzystamy kiedy z niektórych ustępów.

Rozumiemy **Boginko**, że przykra dla każdego choroba, tem przykrejszą być musi dla młodej w twoim wieku dziewczynki; w Bogu jednak nadzieja, że skoro minęła, to wkrótce zupełnie zdrową i silną będziesz, staraj się tylko sumiennie prowadzić przepisana kurację i nie narażaj się na zaziębienie.

W imieniu Jaskółki dziękujemy **Gołąbce z nad Pilicy** za kartę z widokiem katedry kolonńskiej, której niegdyś przypatrywaliśmy się z równym twojemu zachwytem. Czekać też będziemy przyrzeczonego listu z Paryża, nie wątpiąc, że jak pszczołka z kwiatów, tak ty z każdej zwiedzanej miejscowości potrafisz zachować w pamięci rzeczy piękne i pożyteczne.

**P. Ruszcz.** zaginiony nie z naszej winy Nr. 25 Wieczorów, wysyłamy powtórnie.

**Pokora** żadaną kartę od Jaskółki otrzyma prawdopodobnie za jej powrotem, jeśli zwłaszcza pozbędzie się niewłaściwej nieśmiałości i częściej do nas odzywać się zechce.

**Goj.** widocznie koń z twojej kartki bardzo spracowany, nie zastał już Jaskółki, śnać nie pędził „lotem błyskawicy.”

Donosisz nam **Heniu G.**, że kupiłeś siatkę na motyle, i że zamierzasz urządzać na nie polowania. My nie mamy za złe tych łowów tylko tym, którzy zbierają motyle dla celów poważnych, a mianowicie dla zebrania większej kolekcji, mającej już pewne znaczenie. W przeciwnym razie jest to zabawka niedobra, bo dręczy i pozbawia życia istoty, które ból odczuwają. Przypomnij sobie „Sea Zosi” drukowany niedawno w „Wieczorach” i zastanów się, w jakim celu, czy dla czezej zabawy, czy dla studyów będziesz łowił biedne motyle.

**Dobre rozwiązania łamigłówek nadestali:** Róża, Stella, Wicio, Sir Warburton, Janek wędrownik i Landryk, oraz Zbyszek, który przysłał też zadanie własnego układu.